

*Die 3 augusti,
Zamek w Samborze, trzecia w południe*

Nie wiadomo, czy było to przesłuchanie, czy też posłuchanie. Kiedy stolnikowic oddał szablę, pozwolono mu zabrać konia sprzed karczmy, a potem zaprowadzono razem z Waarła-

mem do Dymitra, aby wyjaśnić, jak doszło do zwady, kto zaczął, i w ogóle rozplątać jakoś bełkot mnicha, a zarazem rzucić światółko prawdy na jeszcze mniej zrozumiałe odpowiedzi pana Dydyńskiego.

Spotkali się z Dymitrem w świetlicy w domu Jego Królewskiej Mości, który pod niebytność Zygmunta Wazy służył jako mieszkanie dla gościa Mniszchów. Carewicz zasiadał na ozdobnym, obitym kurdybanem krześle pośrodku izby. Za jego plecami czuwaliby hajducy. Przyszła też Maryna, a jej smukła twarzyczka nawet nie drgnęła na widok Dydyńskiego i Waarłama. A na koniec do sali wszedł człowiek, którego obecności Jacek się spodziewał: sam jaśnie oświecony wojewoda sandomierski Jerzy Mniszech, ojciec Maryny i przyszły teść Dymitra.

Gdyby nie waga tytułów pana starosty i wojewody, a więc *Illustris, Magnificus, Nobilis, palatinus sendomiriensis, comes de magna et parva Kończyce, capitaneus samborensis*, a w przyszłości zapewne *Magni Moscoviae Ducis et cetera*⁵⁵... a także ciężar delii z pętlicami i poźłocistymi guzami, w których tkwiły diamenty, można by rzec, że chłopiec był z niego nieduży. Wszakże niedostatki wzrostu nadrabiał pan wojewoda marsową miną i wyniosłą postawą, godną senatora zasiadającego na krześle w wysokiej izbie na królewskim zamku, a nie słomianego palatinusa stojącego przy drewnianym drążku za plecami możnych. Spoglądając na pana wojewodę, widziało się przede wszystkim wspaniałości ubioru, a zwłaszcza delii z rybiowym kołnierzem, szczerozłotego łańcucha na szyi i baczmagów, to jest ozdobnych butów z najlepszego safianu, później zaś szabli oprawionej w pochwę nabijaną klejnotami i sztukami z pereł. Dopiero zaś na końcu dostrzeżęło się kędzierzawą głowę, bródkę i wąsiki, jak u dobrotliwego dziadka. Fakt jednak niezaprzeczalny, że na ruskim pograniczu Rzeczypospolitej, gdzie choćbyś posiał franciszkanów, to przecież narodzili się z nich najtwardsi zawadiacy i warchoły, pan wojewoda nie

55 patrz przypisy końcowe

był ciężkim sąsiadem dla innych. Nie zajeżdżał postronnych jak Stadnicki, nie wszczynął burd jak Fredrowie, nie knuł spisków przeciwko królowi i Rzeczypospolitej jak Herburt, ani też nie prowadził wojen domowych niby Jan Tomasz Drohojowski. Jednak poza tym wszystkim miał nałożone na oczy dwa czerwone złote, przez które częściej dostrzegał u innych bogactwo i przepych niż cnotę, męstwo i fantazję.

Wojewoda ledwie odkłonił się Dydyńskiemu, co Jacek wziął za afront i niełaskę. I wielce zasmucił się, bo źle to wróżyło spotkaniu, które go czekało.

– Co się stało? O co wam poszło? – zapytał Dymitr raczej zdumiony niż zagniewany.

Jaickij bez słowa runął mu do stóp z takim impetem, że Dydyńskiemu zdało się, iż zakołysały się wieże samborskiego zamku. I zaraz zrozumiał, jak wielką przewagę dawała Moskalom wrodzona giętkość nóg tudzież byczych karków, które skłaniali przed każdym, kto miał siłę i władzę.

– Hosударu, caru, wieliki kniaziiu wsieja Rusi – zajęczał Waarłam, tuląc do brodatej gęby rękę Dymitra i zraszając ją swymi fałszywymi łzami jak bóbr. – Bijut czołem Waszemu Carskiemu Wielicestwu, ja, rab twój, chołopiszka marny, i proszę: zmiłuj się nad sługą twoim, który jak Mojżesz wierznych z Egiptu, tak on wyprowadził ciebie z ziemi tyrana Borysa Godunowa. Nie odtrącaj, wysłuchaj i wyrok sprawiedliwy wydaj, bo krzywda wielka się dzieje!

– Wstań i otrzyj łzy, ojcze Waarłamie – rzekł Dymitr. – Mów śmiało, co cię spotkało.

– Błahosłowien Boh nasz wsiegda, nynie i prisno i wo wieki wiekow – zaczął Jaickij – i niechaj mnie ukarze, jeśli nieprawdu powiem. Ten oto szlachcic – ukazał Dydyńskiego – napadł mnie w Samborze, szablą groził, męki katowskie zadał i nawet gorzej ukrzywdził, bo o zdradę Waszego Carskowo Wielicestwa posądził!

Dymitr poklepał go po ramieniu, pomógł wstać. Jaickij dźwignął się na nogi, jęcząc, bo srodze dokuczał mu zad przy-

pieczony przez Jacka. Lecz kiedy zamarł wyprostowany, jego brodate oblicze nie wyrażało zupełnie nic, jakby cała sprawa w zupełności już go nie obchodziła. A może był już pewien, że dworska kariera Jacka skończyła się z kretesem?!

– Co macie do powiedzenia w swojej obronie, mości panie Dydyński? Z jakiego powodu napadliście na mego wiernego sługę?

– Waarłam to zdrajca... Szpieg twoich wrogów – rzekł głucho Jacek, przekonując się, że w takiej sytuacji trudniej złożyć dwa zdania niż szablę do cięcia. – Niegdyś służył tym, którzy chcieli cię porwać, i nie ma pewności, że nawet wówczas, gdy bije czołem Waszej Carskiej Mości, nie knuje kolejnego podstęp!

– To potwarz i kłamstwo, Hosudaru! – zakrzyknął Waarłam. – Usłyszał o tym od służalców Borysa Godunowa! Od Postnika Ogarewa i Semena Wołkowskiego! Oni napełnili jadem jego duszę! Nasi wrogowie chcą skazać mnie w niełasce, wtrącić do lochu, abym tobie, Hosudaru, nie mógł służyć dłużej radą i pomocą!

Dymitr milczał.

– Jeśli ten Lach rzuca na mnie kalumnie, tedy ja proszę ciebie, Hosudaru nasz ruski, abyś kazał mu wziąć na świadki Caria Niebiesnego, Swiatowo Boha i Preswiatają Trojce. I przedstawić dowody na prawdziwość słów.

– Słusznie – skwitował Dymitr. – Mości panie Dydyński, oskarżasz mego wiernego sługę o zdradę. Ale czy masz jakieś dowody na prawdziwość swoich słów?

– Masz, panie szlachcic, jakieś pisma? – zagadnął podstępnie Jaickij. – A może na ten przykład wszedłeś w posiadanie listu, który mnie obciąża?

Dydyński z kamiennym spokojem zniósł jego wzrok.

– Mam pismo, z którego wynika, że nie zawsze byliście tak bogobojni, jak udajecie, ojczy Waarłamie. Inaczej nie rzucałbym słów na wiatr!

– Pokaż go, waszmość, proszę. – Dymitr wyciągnął rękę.

A wtedy pan stolnikowic poczuł się tak, jakby oblano go wrzątkiem. Wsunął dłoń w zanadrze i... opuścił ją. Sięgnął do kalety, ale nawet jej nie rozwiązał. List, do stu fur czarcich pył! On gdzieś zniknął. Przypomniawszy sobie, że ostatni raz miał go w karczmie, kiedy brał Waarłama na spytki. Zostawił go tam, wypuścił, położył na stole... Boże święty, sam już nie wiedział, co z nim zrobił!

– Pokaż ten list, mospanie – zażądał Dymitr po raz wtóry.

Dydyński wyprostował się godnie i wsparł ręce pod boki. Wszystko po to, aby zamaskować fakt, iż tak naprawdę spoccił się ze strachu.

– Pismo zostało w gospodzie – rzekł. – Wypadło mi, kiedy chciałem rozmówić się z Waarłamem. Pozwólcie, mości carewiczu, pójść i poszukać, a niechybnie dostarczę dowody zdrady twego sługi.

– Czyż nie mówiłem – wyszeptał zgięty w pół Jaickij – że w jego słowach więcej jest jadu i kłamstwa niż w pocałunku Judasza, jaki ten złożył na ustach naszego Pana po ostatniej wieczerzy? Carze prawosławny, jakże ja, wierny sługa i niewolnik, mógłbym knuć twą zgubę? To on, ten szlachcic, wypełnia wolę naszych wrogów! Dymitrze Iwanowiczu, namiestniku Boży wsieja Rusi, prawy nasledniku na kremlowskim tronie! Kiedy ten człek napadł na mnie w gospodzie, sam chciał nakłonić mnie do zdrady i pomocy w zamordowaniu cię! A jeśli nie wierzysz w słowa biednego sługi, zapytaj go, czy ma przy sobie chrest z łbem niedźwiedzia! Bo to jest znak wysłanników Godunowa – po nim rozpoznają się wzajemnie. Zapytaj – głos Waarłama zabrzmiał nieawistnie – czy ma chrest przy sobie, a wszystko stanie się jasne.

– Zabiję przekłętęgo psa! – warknął Dydyński i choć bez szabli, postąpił w stronę Waarłama, a ten z zaskoczeniem, jak na jego posturę, szybkością schronił się za carskim prestołem, którego rolę – z braku prawdziwego tronu Iwana – musiało pełnić chwilowo krzesło z samborskiego zamku.

– Stój, mospanie! – Dziesiątnik hajduków pilnujących porządku w izbie złapał go za ramię. – W grodzie jesteś! Przed panem starostą!



– Mości panie Dydyński – przemówił Dymitr Samozwaniec głosem, w którym szlachcic wyczuł zbierającą się burzę – czy masz przy sobie krzyż, o którym wspominał mój sługa? Wzywamy cię naszą carską mocą do ukazania go nam!

Jacek nawet nie musiał zaglądać w zanadrze, aby przekonać się, że z każdym słowem Waarłama pogrążał się coraz głębiej w topielisko. Przeklęty Niedźwiedzi Chrest zakłuł go pod żupanem, przypominając chwilę, gdy w karczmie pokazywał go Jaickiemu.

– Chrest! Chcę go zobaczyć! – zagrzemiał groźnie Dymitr i podniósł się z krzesła. Dydyński poczuł się tak, jak gdyby stanął u wylotu lufy armaty, do której zapału przystawiono tłący się lont. Ciekawe, czy takie samo uczucie mieli bojarzy i dworanie cara Iwana Groźnego, kiedy kazał łamać ich kołem, nabijając na pale albo też okładał żelaznym posochem. A oni wówczas łkali tylko rozpaczliwie, wołając: *Caru, gospodaru, wieliki kniaziu, żałuj ruczek twoich, które zmordujesz, bijąc mnie, chołopa swego, miej wzgląd sam na się.*

Dydyński nigdy nie pozwoliłby się uderzyć; nikomu – a zwłaszcza moskiewskiemu carzykowi z Sambora.

– Pokaż, waszmość, chrest – rzekł pojednawczo dziesiętnik. – Inaczej hore tobi.

Dydyński wsunął rękę w zanadrze, uchwycił drewniany krzyżyk z łbem niedźwiedzia, wyciągnął w stronę cara, podał na otwartej dłoni. Cóż miał uczynić? Czekać, aż Dymitr, a prędzej wojewoda jako starosta, każe hajdukom, aby przetrzepali mu hajdawery?

Zapadła martwa, dzwoniąca w uszach cisza.

– Skąd to masz? – zapytał wreszcie Dymitr.

– Od Waarłama – rzekł Dydyński, dziwiąc się sam sobie, że przemawia tak spokojnie. Nie łudził się, że kogokolwiek jeszcze zdoła przekonać do swych słów. Przegrał z kretesem i teraz mógł tylko zwijać tyłek w troki i wyjechać z Sambora z mieczem carskiej niełaski wiszącym mu nad głową. Nawet milczący do tej pory Jerzy Mniszech pokręcił z dezaprobatą głową.

– Cariu preswietnyj, poteszytielu nasz – jęknął znowu Waarłam, pochylając się do ręki Dymitra – jakże mogłeś podejrzewać mnie, wiernego sługę, skoro masz dowód złych zamysłów tego oto szlachcica? Do tiumry z nim, wyda sprzymierzeńców! Bo inni zdrajcy są tu, między nami!

– Największy z nich klęczy przed Waszą Carską Wysokością! – rzekł głos zimny jak górski strumień.

Maryna stanęła przed Dymitrem, dygnęła jak młoda łania. A potem wyciągnęła rękę z papierem, który otwierał przed Jackiem wrota do niebios.

– Waarłam łże. Jegomość Dydyński jest niewinny. A list mam tutaj!

Jaickij drgnął. Przekrwione oczka, ukryte w gęstwinach brody, powędrowały za dłonią wojewodzianki. Już się nie śmiały, już nie tryumfowały. Jacek dałby głowę, że wiarołomny czeraniec gotów był odgryźć kształtną rączkę, która jednym ruchem wydała nań wyrok skazujący na męczarnie i śmierć.

Za późno!

Dymitr odłożył Chrest, przeczytał kartę, zmarszczył brwi, przeniósł wzrok na Waarłama.

I siedział w ciszy, która była groźniejsza niż niejedna gór-ska burza.

– Ojczy Waarłamie, czy wiecie, co tu jest napisane? – spytała Maryna z zimnym uśmiechem, który wyglądał dziwnie zło-wieszczo na jej dzieciennym obliczu. – Znacie słowa, jakie chciał wam przekazać Borys Oboleński, Moskal, który targnął się na życie i zdrowie carewicza Dymitra, waszego prawowitego pana?

Waarłam skulił się jeszcze bardziej.

– To wszystko podłe kłamstwa! – wydyszał. – Nie słuchaj jej, mości Hospodarze, carewiczu nasz! Hospody pomiłuj! Ni-gdym nie zgodził się na to, co rzekł Oboleński! Nie gadałem z nim! Ani nie wziąłem nawet dukata! U Hospodara prosim!

– Skąd macie ten list? – zapytał Dymitr.

– Od Borysa, tego samego, który zamierzał porwać Waszą Carską Mość z Sambora. Chciał zniszczyć pismo, jeno że papier

jest drogi, więc zamiast do ognia wrzucić, porwał na strzepy i uczynił z niego ładunki do pistoletu. Znaleźliśmy je w tulejach, przy bandolierze, razem z panem stolnikowicem. – Maryna potrząsnęła kształtną główką. – Były w strzępach, dlatego kazałam nakleić je na kartusz.

Dymitr Iwanowicz zerknął na Marynę i stolnikowica, popatrzył na dygoczącego Waarłama, który giął się w ukłonach. A potem wymienił spojrzenia z panem wojewodą sandomierskim.

– Komu mam wierzyć? – zapytał ze smutkiem. – Dawnemu słudze czy polskiemu panu?

– Ten szlachcic nigdy nie skłamał. I nie skłamię – odezwał się wojewoda Mniszech. – To pan stolnikowic sanocki, syn Aleksandra, mego druha, a nade wszystko pan na włościach wartych cztery moskiewskie kurniki, szumnie zwane zamkami. Z jego ojcem pod Psków chadzaliśmy na cara Iwa... – umilkł, jakby uświadamiając sobie nagle, że w sumie wychodziło na to, że bił się z ojcem swego zięcia. – Ręczę słowem za pana Jacka. A, propter Deum⁵⁶, dlaczego miałbyś uważać za zdrajcę człowieka, który uratował ci życie?! Po cóż wówczas uwalniałby cię z więzów i hańbiącej maski?

Dymitr pokiwał głową.

– Masz rację, mości panie wojewodo. – Dał znać hajdukowi. – Zabierzcie ojca Waarłama do... loszku. Tak będzie najwygodniej. A potem wyjaśnimy sobie wszystkie listy i chresty. Ruszajcie się!

– Swiatyj Hospodarie, swiatyj kriepekij, swiatyj bezśmiertnyj⁵⁷, pomiluj nas! – zawył Waarłam, rzucając się do stóp Dymitra, tarzając po posadzce i flamandzkich kobiercach, z których każdy sprowadził pan wojewoda z Gdańska po trzydzieści złotych sztuka. – Ja nie winowaty! Ja nie zdradziłem! Spasi mene⁵⁸, przez Chrystusa, Pana naszego, daruj, daruj! Nieceee...

56 łac. – dla Boga

57 scs. – Święty Panie, święty i mocny, święty nieśmiertelny

58 scs. – zbaw mnie

Dymitr nawet nie spojrzął na niego. W ten sposób nastąpił dalszy, nad wyraz przykry akt ceremonii, w którym hajducy zamkowi musieli odrywać siłą Jaickiego od nóg Samozwańca, wlec do drzwi, wyrrywając garściami kłaki ze łba i brody, szarpiąc na strzępy czarną mantię, a potem, kiedy ich zniecierpliwienie doszło do zenitu – prac starych trzonkami obuszków i czekanów. Carewicz patrzył na to z niesmakiem – zapewne na dworze jego ojca załatwiono by taką rzecz w mgnieniu oka i bardziej fachowo, jednak polscy hajducy nie mieli tak wielkiego doświadczenia jak carscy kaci albo oprycznicy.

– Czekajcie jeszcze! – zawołał za nimi Dydyński, kiedy z wyraźnym trudem wyciągali wrzeszczącego i szlochającego Waarłama za drzwi. – Osadźcie go w takiej celi, by nie mógł gadać z Borysem.

– Tak, panie! – odparł dziesiątnik i począł starannie obtłukiwać czekanem palce ojca Jaickiego wczepione w gładką framugę drzwi.

– Mości panie stolnikowicu sanocki!

Pan wojewoda Mniszech wyszedł Jackowi naprzeciw z rozłożonymi rękoma. Objął go niczym ojciec marnotrawnego syna, ścisnął za głowę, gdy Dydyński skłonił się przed nim – wytwornie, ale bynajmniej nie uniżenie.

– Samo niebo nam waszmości zsyła, co jest dostatecznym i wymownym dowodem, iż wyprawa nasza zakończy się nie inaczej jak tylko przywróceniem prawowitego dziedzica na carski tron! Pozwól, nich ja cię z bliska obejrzę, mój panie. – Pociągnął Dydyńskiego pod okno, obrócił z lewa w prawo, a potem z prawa w lewo.

– A żupan na waszmości przedni jak na wojewodzicu. Ak-samit, cąjg, bombasyn czy falendysz toruński? – zapytał.

– Gdzieżby tam, to jeno jedwab kitajski – odparł zmieszany stolnikowic.

– Jedwab? Na Boga żywego, toż to z pięć złotych za łokieć biorą ani chybi Żydy i Ormianie ze Lwowa?

– Dziesięć – uzupełnił Dydyński. – Za jeden postaw.

– Pogratulować panie Marynie takiego obrońcy. – Pan wojewoda poruszył czarnymi wąsikami jak żuk przewrócony na plecy. – A wy, mospanie, przyjmijcie mój nieutulony żal po śmierci rodzica. Jedni przychodzą, drudzy odchodzą. Jenemuż odchodzić muszą najmilsi memu sercu obrońcy Rzeczypospolitej, z którymi razem krew przelewałem.

– Stało się, mości panie wojewodo. Siła lat przeżył.

– A to ja i wiem od mego sługi, że pogrzeb był zacny i castrum doloris w kościele sukнем czarnym obite – takim, co to przynajmniej pięć złotych za łokieć idzie. A i koniczki przy trumnie cudne – cug maścisty i sprzęgły jak Kastor i Polluks, gdyby w jednym zaprzęgu chodzili – ozwał się wojewoda. – Gdybyś chciał je sprzedać, znajdziesz tu w Samborze chętnego na woźniki gniadosze. I rzeknę więcej – chętny ten przed tobą osobiście stoi.

– Nie w mojej to mocy, mości panie wojewodo. Bo skoro sły-szałeś o pogrzebie mego rodzica, to pewnie i o testamencie, a także o kondycjach, wedle których opiekunem naszego majątku jest pan starosta trembowelski Piotr z Ossy Oźga. Jego pytaście.

– Słyszałem, coś gadają w powiecie – mruknął wojewoda. – Wszelako rad jestem, widząc cię u boku mego przysłego zięcia. Nie stracisz na tej służbie, mospanie, to pewna. A ja już teraz ofiarowuję ci moją łaskę. Będę także szukał zacnych i wier-nych ludzi, kiedy zasiądę już w siewierskiej ziemi. Którą, mu-sisz wiedzieć, obiecał mi carewicz moskiewski. Rzecz jasna, po zdobyciu Moskwy.

– Sługa uniżony.

– Mości panie wojewodo – rzekł Dymitr – proszę pana Jacka na osobną rozmowę do mej komnaty.

– Oczywiście, oczywiście. – Mniszech poklepał czule Dy-dyńskiego po policzku. – Gadajcie, ile chcecie, byle co z tego dobrego wynikło. Bywaj, panie Jacku, i na wieczery nas nie opuszczaj.

– Zaszczyt to wielki – skłonił głowę Dydyński.

– Chodź ze mną – rozkazał Dymitr. – Sam i teraz.

Dydyński poszedł za carewiczem. Ale nim znikł za drzwiami do sąsiedniej komnaty, zabrał Chrest i zerknął po raz ostatni na posklejany list, który Dymitr pozostawił na stole. Niby był tym samym pismem, które Jacek zgubił w karczmie. Ostatni wiersz brzmiał:

Tak ty się tego czelka strzeż, a pomnij, że zowie się Waarłam Jaickij. Jeślibyś w opałach się znalazł od ludzi Dymitrowych, to mu przypomnij, że Nam kiedyś wiernie służył i jak pies był posłuszny...

Jednak nieznana rączka dodała tekst, którego nie było w liście znalezionym przy Borysie:

*...naszemu Hosudarowi, Borysowi Godunowowi, którego był sekretnym wysłannikiem. Często do obozu nieprzyjaciół wkra-
dał się, udając zmiennika, i wielkie oddał usługi.*

Jak ona to dopisała? – pomyślał zaskoczony. Kiedy? Gdzie?

Maryna uśmiechała się. Tajemnicza, uwodzicielska i bezradna... jak zwykle.



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki